OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 15 (27) Marca 1867 roku.

Nr 13. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.

TREŚĆ. Płock, przez Adama *Mieczyńskiego* (z drzeworytem).—Anioł rodziny, wiersz, Franciszka *Gumowskiego*. —Dziwni ludzie, powieść, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy). — Kondor, przez Mścisława *Kamińskiego* (z drzeworytem). — Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego. —Rozmaitości.

PŁOCK.

Płock budzi zawsze najprzyjemniejsze wspomnienia młodości mojej. I nie dziw, zaranie życia, pierwsze koleżeństwo szkólne, chwila pożegnania z kilkudziesięciu kolegami, z któremi na jednéj ławie szkólnej przeżyło się najpiękniejszych siedm lat życia, z którymi potem w różnych kolejach praktycznego żywota zaledwie spotkać się przyszło, a wielu, więcej niestety jak połowa, spoczywa snem wiecznym na kilkudziesięciu cmentarzach różnego wyznania — wszystko to nasuwa się pamięci, gdy wspomnę o Płocku. Dla mnie Płock, to cóś z rodzaju owych Bogów domowych, to cóś należącego jakoby do rodziny, cóś zespolonego tak dalece z przeszłością, tak ciągnącego sercem do siebie, że w istocie brakuje mi słów do wypowiedzenia uczuć i myśli, jakie gwałtem cisną się pod pióro.



Płock.—(Wycięto w drzeworytni Minhejmera).

Obok tego Płock ma i inne strony piękna, o których zapomnieć trudno, chociaż się wiele piękniejszych widziało, bo pierwsze wrażenia młodości nie zacierają się nigdy. Otóż Płock leży w pięknej miejscowości; wysoko wzniesiona góra po nad grzbietem starej Wisły naszej, malowniczo rozrzucone na niej gmachy, z których nie jeden kilka wieków liczy, otoczenie miasta z trzech stron nieprzylegających Wiśle drzewami, wspaniały i daleki widok z wierzchołka wysokiej wieży Tumskiej na piękne lesiste okolice Zawiśla, na ową oddawna słynącą z urodzajnej glebyziemię Gostyńską.

Płock jest miastem stołecznem gubernji, odległem o 14 mil drogi od Warszawy, z którą skomunikowany jest przyśpieszonemi drogami: w lecie żeglugą parową na Wiśle, a w innych porach koleją żelazną do Kutna, a ztąd drogą bitą, przechodzącą przez najpiękniejsze, chciałem powiedzieć

najżyźniejsze i najlepiej uprawne okolice Gostyńskiego. Obok traktów nie bitych, Płock przez Zakroczym i Płońsk, łączy się z Warszawą traktem bitym. Wszystkie te kommunikacje powstały prawie w oczach naszych. Pamiętam, że dawniej dwóch dni potrzeba było do przebycia drogi z Warszawy do Płocka, dziś statkiem parowym w 6, lub koleją żelazną w 10 godzin, całą podróż wygodnie przebyć można.

Zbliżając się do Płocka, a zwłaszcza statkiem parowym, z oddali już widnieją wyniosłe wieże Tumskiego Katedralnego Kościoła i przyległa im daleko starsza tak zwana szlachecka wieżyca, a tuż po za nią inna wieża z pięknym starożytnym zegarem, który naddziadom naszym wybijał godziny czasu, może upamiętania, zbyt późnego niestety. Wieża ta służy zarazem za dzwonnicę Katedralnego Kościoła, a jest ostatnią z pozostałości po b. zamku, który podobno jeszcze Mieczysław I-szy wybudował.

Do tego obrębu, do tej góry, która wyniosłością swą stanowi jakoby jedność oddzielną w pośród innych towarzyszek, wiążą się całe wspomnienia przeszłości tego starożytnego grodu; powiedzmy o nich słów parę.

Dzieje Płocka rozpoczynają się zarówno z dziejami kraju, kto go pierwszy budował, wspomnienie o tem zagrzebane we mgle przeszłości, to pewno jednak, jak świadczą najdawniejsi kronikarze nasi, że Płock zaraz w pierwszych chwilach zaprowadzenia Chrześcjaństwa, już znakomitą odgrywał rolę w dziejach kraju.

Wspomniony już wyżej król Mieczysław I-szy, zbudował tu jeden z siedmiu przez siebie wzniesionych Kościołów w różnych miastach Chrześciańskiej Polski. Następca jego Bolesław Chrobry, świątynie tę wzniósł do godności Katedry, a prawnuk Chrobrego Władysław Herman i syn jego Bolesław Krzywousty, lubili w Płocku przemieszkiwać, i tu też pochowani zostali w miejscowej Katedrze. Piękna powieść w której napisaniu brał współudział nasz pierwszorzędny wieszcz Zygmunt Krasiński nosząca tytuł: „Władysław Herman i dwór jego”, odtwarza poniekąd owe czasy minionej pomyślności w tej epoce starożytnego grodu i dla tego też z przyjemnością odsyłamy do niej czytelników naszych.

Dalsze koleje Płocka dają się zamknąć w wspomnieniu, że od 1207 roku gród ten stał się stolicą całego Mazowsza i że w 1351 roku Kazimierz Wielki, nigdy niezapomniany król chłopków, nabył całe Mazowsze wraz z Płockiem prawem lennem od córki ostatniego z książąt Mazowieckich i przyłączył je na powrót do Korony.

Temu ostatniemu monarsze, jak wiele innych miast Polskich tak i Płock, ogniem i mieczem zniszczony, zawdzięcza zupełne odrodzenie swoje. On to przebudował z gruntu zrujnowany tutejszy zamek, obwiódł miasto murem i udzielił mu liczne swobody, którzy późniejsi Królowie Polscy potwierdzili lub nowe bardzo korzystne nadali. Archiwum miejskie dzisiejsze, mieści 76 oryginalnych przywilejów miastu temu przez monarchów nadanych.

Jan Olbracht ostatecznie księztwo Płockie w 1459 roku wcielił do Korony i odtąd Płock stał się stolicą województwa tegoż samego nazwiska.

W XVI wieku Płock był tak ludny, zamożny i obszerny, że za pierwsze po stolicy miasto uchodził. Mieszczanie Płoccy trudnili się rolnictwem i handlem, lubo i fabryk tu nie brakło, a mianowicie płótna i sukna.

Od czasów wojen Szwedzkich, to jest od połowy XVII wieku, miasto to powoli chylić się zaczęło do upadku, ludność się zmiejszała, rozsypał się mur obwodowy, wiele domów zniszczonych częstemi pożarami lub wojną, pustkami stało.

Zniszczenie to do tego wreszcie doszło stopnia, że lustracja z 1661 roku z wielu domów przed wojną istniejących znalazła zaledwie 40.

Druga wojna Szwedzka w 1704 roku ostateczny cios temu miastu zadała, tak, że dopiero w ostatnich kilkunastu latach Płock szybkim krokiem dąży do rozwoju swej pomyślności; odbudowywa się, w ludność z każdem rokiem wzrasta, słowem niezacierając śladów przeszłości, przybiera postać miasta prawdziwie pięknego, ku czemu jak na wstępie wspomniałem, sama przyroda poniekąd nadaje mu prawo.

Kiedy wspomniałem o przeszłości tego starego grodu dawnego Mazowsza, a podania tu przytoczone oparłem na wyczerpującym artykule pana Sobieszczańskiego, umieszczonym w XX-tym Tomie dzieła „Encyklopedja powszechna”, winienem tu wspomnieć jeszcze o najwydatniejszych budowlach tak starego jako i nowego Płocka.

Najstarożytniejszą budowlą w tem mieście był zamek, mieszczący w swojem obrębie Kościół Katedralny. Odbudowany przez króla Zygmunta I-o uległ zupełnemu zniszczeniu podczas pierwszej wojny Szwedzkiej, dziś pozostało z niego tylko dwie wieże, o których już powyżej wspomniałem.

Katedra dochowała w sobie wszystkie cechy odległej swojej starożytności. Zbudowana w kształcie krzyża, posiada 15 ołtarzy i 4 boczne kaplice. Kiedyś, może szczegółowo opiszemy ten starożytny pomnik z jednej strony architektury, z drugiej przeszłości naszej, obecnie powiemy tylko, że z pomiędzy wielu pamiątek zachowujących się w tej świątyni, zasługują na szczególną uwagę: wielki ołtarz pędzla niewiadomego włoskiego artysty, Zygmuntowska kaplica z obrazem Ś-go Piotra w Okowach, który nawet Napoleon I-y był zabrał z sobą do Paryża, grobowce Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, oraz grobowce kilku biskupów, a najpiękniejszy ze wszystkich Stanisława Krasińskiego Wojewody Płockiego.

W skarbcu katedralnym znajduje się wiele drogocennych pamiątek, a między innemi w złoto oprawna czaszka Ś-go Zygmunta patrona Katedry, z której pobożnym każdego roku w dniu 3-m Maja rozdawane jest wino.

Oprócz Katedry do pamiątek historycznych Płocka, należy gmach gimnazjalny, przebudowany z dawnego kościoła i kolegjum zniesionego zakonu Jezuitów; gmach ten znakomitego rozmiaru, jako pamiątkę zatrzymał dawną wieżę, z której przepyszny widok na okolicę i z której, jak studenckie podania niosą, niegdyś sławni rektorowie jak np. Morykoni, obserwowali niekiedy wzbraniane uczniom ślizgawki i przekraczających wzywali do porządku dziennego za pośrednictwem tuby.

Dalej do starożytniejszych pamiątek Płocka należy Kościół Farny i gmach teatralny przerobiony z Kościoła niegdyś Ś-tej Trójcy, wreszcie Kościół ewangelicki przerobiony z po-dominikańskiego i pa-

łac biskupi, wydzierżawiany na pomieszczenie Władz sądowych.

Z nowszych budowli wymienimy: Gmach Rządu Gubernjalnego, naprzeciw którego w środku samego miasta założono piękny park, służyć mający do przechadzek.

Dalej dwa więzienia stare i nowe, gmach ratuszowy i wiele innych budowli wzniesionych i wznoszących się kosztem osób prywatnych.

Oprócz Katedry, Płock liczył w dawnych wiekach 15 kościołów i 6 klasztorów, dziś z katolickich trzy tylko pozostało.

Ogólna ludność Płocka wynosiła w r. z. podług danych ze źródeł rządowych 13,895, domów zaś ma 601 i prawie wszystkie murowane. Ulice są szerokie, brukowane, ale nie powiemy że dobrze, ot tak trochę gorzej jak w Warszawie. Dwa rynki stary i kanoniczny, wystarczają potrzebom miejscowym. W ostatnich czasach, o ile słyszeliśmy, władza miejska przemyśliwała nad kanalizacją miasta, wodociągami i podobno nad oświetleniem gazem. O ile ulepszenia te pożądane przez każdego kogo pomyślność miasta tego interesuje, w czyn w prowadzone zostaną, sądzimy że przyszłość bliska okaże.

Największą ozdobą miasta są, liczne ogrody publiczne, jak wspomniany już wyżej plac przed Rządem Gubernjalnym, którego przedłużenie stanowi ogród Dominikański zbiegający na spadzistość góry od Wisły; z prywatnych: Słupeckich, Goetza i inne, których każde inne miasto pozazdrościćby mogło Płockowi.

Mieczyński Adam.

ANIOŁ RODZINY.

Kiedy Bóg dobry, świętem ogniwem—
Stułą miłości dwa serca spoi,
To chcąc im życie zrobić szczęśliwem
Zaraz w dobroci prawicę dwoi:
W wonię niebiańską przestwór im zmienia,
Tęczowym blaskiem otacza skronie,
W czar melodyjny stroi westchnienia,
I nową roskosz w dusze im wionie.
A potem niby szczęścia koroną
Wieńcząc wybranych dwoje serc w świecie,
Zsyła duszyczkę błogosławioną,
Zsyła aniołka — zsyła im dziecię.
Ach! ta istota niewinna, święta,
To anioł boży w rodzinnem kole;
Więc ojciec, matka, niechaj pamięta,
Że gdy wyrośnie już na pacholę,
Potem w dziewicę albo młodzieńca,
By zawsze było aniołem Pana,
By niebiańskiego nie starło wieńca,
By snać jak kiedyś w strasznej godzinie,
Anioł nie zmienił się znów w szatana,
Bo wtedy biada — biada rodzinie!

Franciszek Gumowski.

DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8, 9, 10, 11 i 12).



XI.

Na cmentarzu.

W istocie Michał nie był przesądnym, mimo jednak najsilniejszego przekonania że strachów nie ma na świecie, że umarli nie wstają z grobów, że upiory, zmory i strzygi są wymysłem wyobraźni ludowej z czasów ciemnoty i zabobonu, że godzina północna jest taką samą jak każda inna godziną, czuł że mu serce biło gwałtownie, krew żywo nabiegała do skroni, a włosy dębem stawały na głowie.

Kogo się bał? dla czego drżał jak listek?... Wszakże tutaj po nocy pomiędzy skromne wiejskie groby przyprowadziła go myśl ocalenia spuścizny nieszczęśliwej ofiary, dla tych co pozostali po niej? Wszakże na depozytora chwilowego tej spuścizny ofiarował się w czystej intencji, czyż nie powinien więc był być pewnym, że gdyby nawet duch spalonego stanął przed nim, mógłby mu tylko wdzięcznem podziękować słowem.

Czego się więc bał pan Michał tak bardzo, pojąć nie podobna, a jeśli dreszcz przebiegł mu po skórze, to zapewne dla tego, że rzecz się działa w Marcu, a noce marcowe są chłodne.

Zaledwie przelazł przez płot, jakiś głos wewnętrzny przypomniał panu Michałowi, że miał iść do proboszcza.

Pan Michał zarumienił się i stanął na miejscu, tak jak gdyby myślał się cofnąć.

Ale znowu inny głos wewnętrzny mówił do niego, że sobie niepotrzebne robi skrupuły:

— I po cóż ci brać świadków—mówił ten głos mniej daleko od pierwszego surowy,—przecież nic złego zrobić nie myślisz? Jeżeli znajdziesz pieniądze nieznajomego, to je oddasz jego rodzinie, rzecz oczywista. Ale jeśli idjota bredził jak zwykle warjat, jeżeli w grobie nie znajdzie się nic?... W takim razie wyśmiano by cię tylko za twą łatwowierność, a bajczarze osieccy rozgłosić by gotowi, że dla tego tylko brałeś świadków, żeby widzieli jakiś ty sumienny, chociaż ty sam całą historją o skarbie wymyśliłeś, ażeby się wydać sumiennym. Tak by powiedzieli niezawodnie, bo ludzie są zawsze złośliwi, więc lepiej zrób wszystko cichaczem.

Już się pan Michał decydował iść za tą radą, gdy ów pierwszy głos wewnętrzny, który zwykle sumieniem nazywamy, zaprotestował przeciw temu:

— Rzecz najniezawodniejsza, mówił ten głos, że idjota nie bredził, bo skądżeby miał storublowy papierek?

Pan Michał wstrzymał się znowu.

— Jeśli nie bredził, to mógł się omylić, odparł na to natychmiast głos drugi, zkąd on mógł wiedzieć, że te pieniądze koniecznie ów nieszczęśliwy, który był tylko kilka minut w spalonym domu, ukrył tam jak mógł najbezpieczniej? Czyż nie logiczniej przypuścić, że

je schowali ci, którzy tam lata całe przemieszkali? Może one tam leżały Bóg wie odkąd, może to skarb po dawnych tej wioski właścicielach? może je twój ojciec tam schował? może matka? a tym sposobem może wszystkie te pieniądze są twoje i jeśli świadków zwołasz kiedy swoją własność brać będziesz, to sobie tylko kłopotów i nieprzyjemności przysporzysz.

Głos ten tak się zdawał panu Michałowi przekonywającym, że go usłuchał choć sumienie protestowało ciągle, że skarb odwieczny nie mógłby być w świeżych storublowych papierkach, że ani dawniejsi właściciele, ani tymbardziej ojciec jego albo matka, pieniędzy papierowych chować w podobne skrytki bynajmniej nie mieliby powodu, a gdyby je nawet schowali, toby one w skutek palenia w piecach i na kominach, dawno już w takiej kryjówce zupełnemu uledz musiały zniszczeniu.

Dość szybko jak widzimy, ułatwiwszy się z sumieniem, pan Michał zaczął się rozglądać do okoła, jakby w obawie czy go kto nie podpatruje.

Po chwilowem rozglądaniu się na wszystkie strony, powiedział sobie że ta obawa była płonną, nocny bowiem gość na cmentarzu był pod opieką przesądnej trwogi, jaką ludzi nieoświeconych a nieraz nawet i posiadających pewne ukształcenie, przejmuje widok miasta umarłych, przykrytego całunem nocy.

Uspokojony tą pewnością że nikt się nie odważy go śledzić, Szerepa zaczął okiem szukać miejsca, w którem mógł być pochowany nieznajomy.

Nie wiedział on wcale gdzie złożono zwłoki spalonego, miejscowości cmentarza nie znał dokładnie, nie wątpił jednak że grób rozpozna i odszuka; na wiejskich bowiem cmentarzach nie tak często przybywają nowe mogiły, więc nie trudno przy srebrnem świetle księżycowem znaleść tę, która dopiero od kilku tygodni przybyła. Nieznajomy przytem zginął śmiercią tak bohaterską, budzącą takie uwielbienie ogólne i taki podziw powszechny, że ani wątpić nie było można, iż oddający mu ostatnią przysługę, miejsce jego wiecznego spoczynku przybrali czemkolwiek i odróżnili od innych, tak że je odrazu poznać będzie można.

Nie kłopotał się więc pan Michał, że nie znał dokładnie miejscowości, z przerażenia z jakiem wchodził na cmentzrz chłódł powoli i pewniejszym już cokolwiek krokiem szedł od grobu do grobu, pragnąc znaleść wskazówkę, mogącą go doprowadzić do skarbu....

— A jeżeli nie znajdę? myślał idąc i drżał na samą myśl, że nadzieja zawieść go może.

Kilka minut tego poszukiwania upłynęło zaledwie, gdy przypadek wcale niespodziewany wskazał mu grób nieznajomego....

Spostrzegł zdala mogiłę cokolwiek wyższą od innych, skierował się więc ku niej, lecz ledwie podszedł parę kroków, ujrzał postać człowieczą leżącą na grobie.

Spojrzał raz jeszcze i stanął skamieniały.

W tej postaci otulonej kożuchem i zasypiającej spokojnie na grobie ofiary, poznał z łatwością Jana Białego.

Biedny idjota dotrzymywał towarzystwa zakopanemu i nie mając zapewne zamiaru pilnowania skarbu, który mu złożył do ziemi, był przecież jego stróżem najlepszym.

— Wszystko przepadło! jęknął w duchu Szerepa. Głos jakiś szepnął mu, że na to poradzić by można.

— Poradzić... ale jak?... myślał pan Michał.

— Ot poprostu... sprzątnąć go... warjat.... co mu po życiu?... podszczuwała myśl występna, ten szatan zbrodni, na głos którego niestety, Szerepa niezawsze był obojętnym.

Pan Michał wzdrygnął się na tę myśl...

— Nie! nigdy! — szepnął.

— Tym naprzykład kamieniem, co leży pod drzewem, podżegał dalej ten sam głos.

Szerepa mimowolnie spojrzał na kamień, zrobił giest jakby chciał ręką wyciągnąć po niego... ale wzdrygnął się znowu, dreszcz go przebiegł, cofnął dłoń szybko i zakrywając nią oczy, nieświadomy tego co robi, oddalił się pośpiesznie od śpiącego.

Przypadek chciał, że w tym właśnie kierunku który obrał o kilkanaście kroków znajdował się dół, w którym niezadługo zapewne spocząć miały śmiertelne szczątki jakiego nowego do przybytku umarłych przybysza.

Idąc śpiesznie, niby uciekając przed jakąś straszną marą, która go ścigała i gwałtem ciągnąć pragnęła do zbrodni, pan Michał potknął się o jedną z mogił i straciwszy równowagę wpadł do dołu.

Dół był wązki, głęboki, wykopany prostopadle w gruncie gliniastym, mimo więc długich napróżnych wysileń, nie zdołał wydostać się z niego o własnych siłach.

Szamotał się i rzucał jak wściekły. Przeraziła go myśl, że mu przyjdzie pozostać uwięzionym aż do rana, że go ludzie w tej pozycji spostrzegą, że znaleziony w takim stanie będzie w nadziwniejszem i najdrażliwszem położeniu, a nadto skutkiem zwłoki i niepodobieństwa pojścia powtórnego na cmentarz bez zwrócenia uwagi, najniezawodniej ów skarb spodziewany utraci.

Zmęczony bezowocnemi usiłowaniami, wypoczywając, dopiero zastanawiać się zaczął nad tem, czy nie ma innego oprócz siły fizycznej środka wydobycia się z miejsca, w które go wrzucił fatalny przypadek.

Przypomniał mu się grajek, śpiący na mogile.

— Janie! — zawołał kilkakrotnie, starając się tak umiarkować głos, żeby krzykiem nie zwrócić uwagi mogących się znajdować w bliskości cmentarza ludzi, lecz żeby wołanie jego doszło i zbudziło śpiącego.

Jan Biały ocknął się rzeczywiście, a usłyszawszy swoje imię wstał bez najmniejszej obawy i poszedł w kierunku zkąd go głos dochodził.

Gdy zbliżał się do dołu, pan Michał znów powtórzył wołanie.

— Panicz tu! — rzekł idjota, — czy i panicza chcą zakopać?

— Tak... — odpowiedział szybko pan Michał, chcą mnie zakopać... wyratuj mnie..... daj mi rękę....

Grajek natychmiast pośpieszył z pomocą i wspólnemi wysileniami, pan Michał wreszcie wydobył się z dołu....

Odzyskawszy wolność, Szerepa odzyskał zarazem nadzieję dopięcia swojego celu.

Jan Biały tylko był mu na zawadzie.

Błyskawiczna myśl nasunęła mu sposób pozbycia się tej przeszkody.

Silną ręką uchwyciwszy za kark kalekę, pan Michał pchnął go do grobu, z którego się wydostał przed chwilą, następnie poszedł śpiesznie ku mo-

gile, na której przed tem widział go śpiącego i nie mając przy sobie żadnego narzędzia, zaczął rozgrzebywać ją rękami.

Ogłuszony z razu upadkiem Jan Biały cicho siedział w dole, lecz wkrótce przyszedłszy do siebie zaczął wołać.

— Panicz!.....

— Krzyczeć będzie, do djabła! — Mruknął pan Michał, — śpieszmy się.

I pracował tak pilnie aż mu się pot lał z czoła, a co chwila to inny przedmiot wpadł mu w ręce; idjota bowiem wszystko co tylko znalazł w ruinach, zakopywał natychmiast do mogiły spalonego.

Przedmioty znajdowane w ten sposób nie miały przecież najmniejszej wartości. Tego czego szukał pan Michał, nie było jeszcze.

— Paniczu!... paniczu!...— wrzeszczał coraz głośniej kaleka.

— Zdradzi mnie!.... zwoła ludzi!.... wszystko przepadnie!.... na szatana!.... — klął pan Michał nie przerywając roboty.

W chwilę potem grajek wydał krzyk tak przeraźliwy i donośny, że go chyba na wiorstę w koło słychać było:

— Paniczu, zakopują mnie!....

W Szerepie zawrzała krew z wściekłości i przerażenia.

Zerwał się do grobu, porwał za kamień który widział przed wpadnięciem do dołu, pobiegł szybko na miejsce i z całej siły szału jaki nim miotał, cisnął nim w głowę Jana Białego.

Idjota padł jęknąwszy tylko i wkrótce zamilkł zupełnie.

Jan Biały zamilkł... ale w uszach Szerepy zadźwięczał inny stokroć straszliwszy, stokroć okropniejszy, podwójny jęk, zdający się wychodzić z głębi dwóch przyległych grobów.... z grobów ojca i matki Michała, leżących na tym samym cmentarzu....

Nic już i ten jęk nawet, nie mogło wstrzymać Szerepy na śliskiej drodze, którą dziś rano jeszcze tak szczerze pragnął opuścić, — na drodze występku i zbrodni....

Przerażony, blady, z rozwianym włosem, z gwałtownie bijącem sercem, wrócił on do swojej strasznej pracy.

Okradał grób....

Kilka chwil grzebał jeszcze, aż nareszcie dłoń jego natrafiła na gruby pugilares, o którym mówił Jan Biały.

Czując już w swych ręku ten skarb, Szerepa zerwał się od grobu i pośpiesznie cmentarz opuścił, nie myśląc wcale o zatarciu śladów swojego czynu, pewny, że rozgrzebanie grobu wszyscy przypisywać będą grajkowi, a skaleczenie biednego idjoty, jego przypadkowemu wpadnięciu do dołu.

Gdyby zaś Jan Biały chciał mówić o tem co zaszło, ktożby warjatowi uwierzył?....

XII.

Weksel.



le już była godzina trzecia rano, kiedy Szerepa powracał do Suchej Woli, skradając się jak złodziej do swego mieszkania, gdyż pragnął, żeby się nikt nie domyślał jego nocnej wycieczki.

Zapaliwszy świecę postanowił przejrzeć tylko pobieżnie pugilares, następnie o ile było można zatrzeć na swej osobie ślady świeżo odbytej wyprawy, później zaś natychmiast kazać zakładać konie i wyjechać.

Otworzywszy skarb znaleziony przekonał się, że w istocie było w nim dużo pieniądzy... Liczyć ich nie miał czasu...

Z papierów nie mających wartości pieniężnej, na los szczęścia wziął jeden największy i rozwinął.

Był to paszport wydany na imię Antoniego Strzyża.

— Antoni Strzyż!... ojciec Anny!... zaginiony od tylu lat... wracał do dzieci i zginął w ten sposób... To okropne! — myślał trąc ręką czoło, jakby z niego myśl jakąś uporczywie chciał wydobyć, — jej ojciec!... to są święte pieniądze... oddać trzeba.... powiedzieć wszystko.

Nie długo przecież zatrzymywał się przy tem postanowieniu.

— Ba! — myślał dalej, — powiedzieć!.... a jeżeli grajek nie żyje?....

Ledwie ten wyraz nasunął się jego myśli, Szerepa obejrzał się do koła niespokojnie i rzekł półgłosem:

— Kto powiedział że nie żyje?.... żyje, żyje niezawodnie.

I znowu myślał:

— Hm!.... chociaż żyje... może być ciężko ranny.... może ztąd wyniknąć śledztwo sądowe.... gdybym pisnął choć słówko byłbym zgubiony..... Nie można nic mówić.....

Tak rozmyślając, obmywał i ocierał swoje ręce i otrzepywał z ubrania liczne ślady gliny, piasku i błota, które z nocnej przyniósł wycieczki.

W pół do czwartej było zaledwie, kiedy obudził służbę i kazał jak najprędzej zakładać do bryczki, nie mówiąc po co i gdzie jedzie.

Kazał się wieść do najbliższej stacji pocztowej, a z tamtąd ekstrapocztą pojechał dalej i na drugi dzień rano wjeżdżał już w rogatki jerozolimskie.

Pierwszą sprawą jaką załatwiać potrzebował był naturalnie wykup przeklętego wekslu, którego samo istnienie groziło mu ciągle więzieniem i jawnością hańby.

Pieniędzy miał na to dosyć, w drodze bowiem przeliczył wykopane z grobu papierki i przekonał sie, że ich było około stu siedemdziesięciu. Miał więc w kieszeni sto kilkanaście tysięcy, a na wykup wekslu dziesięć tylko było potrzeba.

Ponieważ sam chodził do lichwiarza z fałszywie poręczonym rewersem, wiedział zatem doskonale jego mieszkanie i natychmiast dorożką pojechał do niego.

Lichwiarz zobaczywszy swego dłużnika, przyjął go z jakimś ironicznym uśmiechem i ciekawy badawczy wzrok wlepił w jego twarz.

Szerepa dziwnie wyglądał po dwóch nocach, przez ciąg których sen ani na chwilę nie zamknął jego powieki. Wzrok jego nie mógł wytrzymać przenikliwych spojrzeń wierzyciela, odwracał więc oczy jakimś szczególnym blaskiem pałające, i jak najprędzej chciał ukończyć palący interes, który go sprowadził.

— Przyszedłem panu zapłacić dług, — rzekł nieco przytłumionym przez wzruszenie głosem.

— Dług? — odpowiedział lichwiarz, — pan mnie co winien?... ja myślałem że ta bagatela już dawno zapłacona... aha! tamte dziesięć tysięcy, co hrabia B. poręczył?.....

Szerepa nic nie mówił, wzmianka jednak o poręczeniu hrabiego, ubodła go nieprzyjemnie.

— To co hrabia poręczył, nie prawda panie, — powtórzył z widocznym przyciskiem lichwiarz.

— Kiedy płacę to już mniejsza kto ręczył, — odrzekł opryskliwie Szerepa.

— Nu to prawda, że mniejsza czy hrabia ręczył czy nie hrabia, kiedy pan płaci, — prawił dalej wierzyciel, — tak to ja lubię. Mówią ludzie, że kto za kim ręczy, tego djabeł męczy.... no, ale pana hrabiego B. to już za ten pański rewers żaden djabeł męczyć nie będzie.

Cała ta gadanina niezmiernie drażniła Szerepę.

— Mój kochany panie, — rzekł tłumiąc gniew, bądź pan łaskaw przyjąć pieniądze i zwrócić mi rewers, bo mi się śpieszy.

Lichwiarz dziwnie się uśmiechnął.

— Spieszy się panu, hm, to ja wiem i rozumiem, tylko że mnie nie śpieszy się wcale. Mnie się zdaje, że to jeszcze ze dwa tygodnie do terminu.... Co mnie wielkiego poczekać, ja tam niczyjej straty nie chcę.... a o moje pieniądze się nie boję, bo pan płacić gotów, a zresztą pan hrabia poręczył.

— A to dziwne! — rzekł Szerepa, przecież mnie pan zmuszać nie możesz, żebym mu został dłużny kiedy chcę płacić....

— Nu, ja nie przymuszam, tylko jeżeli pan za te dwa tygodnie chciałby wytargować jakie odstępne...

— Ależ ja żadnego odstępnego za te kilkanaście dni nie chcę...

— A, to co innego, to co innego! kiedy tak, to zgoda. Ja, widzi pan, pieniądze u pana, pieniądze poręczone przez pana hrabiego, uważam za pewniejsze niżby u mnie w biurku leżały... gdybym przyjął odstępne, tobym i panu i panu hrabiemu ubliżył..... Ani pan, ani pan hrabia przecież nie bankrut..... Tylko bankrutom daje się odstępne....

— Skończże pan już raz z tem odstępnem i załatwmy rzecz prędko, bo mi pilno...

— Zaraz, zaraz, kochany panie Szerepo, mnie szło tylko o to żeby pan wiedział, jaką ja mam wiarę i w pański podpis i pana hrabiego. Jak się pan z panem hrabią zobaczy, to niech mu pan powie, że ja na jego podpis gotów jestem dać wszystko... zapożyczę się i dam...

Z temi słowy lichwiarz zbliżył się wreszcie do biurka i zaczął szukać między papierami.

Wkrótce doszedł do znajomego dobrze Szerepie rewersu.

— To ten, rzekł Michał.

— Ten?.. a może i ten, tylko że ja mam słaby wzrok...

Założył okulary i zaczął się przyglądać wekslowi, a po chwili jakby przez roztargnienie, umaczał pióro w kałamarzu i w oczach szerepy zrobił czwórkę z jedynki, przez co summa dziesięciu tysięcy przemieniła się na czterdzieści.

— Co pan robisz? krzyknął Szerpa.

— Nic, odpowiedział spokojnie lichwiarz jaką to człowiek ma już słabą pamięć!.. ja myślałem, że to dziesięć tysięcy, a to czterdzieści...

— Co?

— Czterdzieści tysięcy...

— Ależ to fałsz! pan tu zrobiłeś w moich oczach... tu przecież literami wyraźnie napisano dziesięć tysięcy...

— Fałsz?.. nie może być... ja przysięgać nie myślę że ten rewers z poręczeniem pana hrabiego nie jest fałszywy... ja tylko mogę przysiądz, że kiedym dawał pieniądze, to patrzyłem na cyfry a nie na litery...

— Ależ to żarty panie, ja pana nie sądzę żebyś był tak niesumiennym.

— Żadne żarty, tu jest czarno na białem, jeśli pan nie chcesz, to pan nie płać... hrabia zapłaci...

— Zrobię panu proces... nie dam nic...

— Rób pan jak się panu podoba.

Zimny pot oblewał czoło Szerepy... zdało mu się że jest w szponach szatana...

Jeszcze jednego spróbował środku, żeby się z nich wydobyć.

— Ależ ja nie mam tyle pieniędzy, zawołał.

— Nie, to może być że pan zapomniał iż to czterdzieści, pan myślał że to dziesięć tysięcy... daj pan dziesięć... ja na resztę do terminu poczekam, a nie, to hrabia zapłaci... on bogaty...

Chcąc się jakim bądź kosztem uwolnić od tych tortur, Szerepa zdecydował się na ofiarę:

— Na szatana! zawołał, płacę wszystko, daj pan weksel.

— Więc pan sobie przypomniał, że to było czterdzieści tysięcy?

— Przypomniałem, rzekł Szerepa zgrzytnąwszy.

To powiedziawszy wydobył pieniądze jakie miał i odliczył sześćdziesiąt papierków.

Spekulant okiem drapieżnego ptaka patrzał na paczkę banknotów pozostałą jeszcze w dłoni Michała.

— Tak to ślicznie, tak to lubię, mówił, czekaj pan, teraz napiszę panu pokwitowanie.

— Na co pokwitowanie?.. zwróć pan rewers!..

— Rewers rewersem, pokwitowanie pokwitowaniem, u mnie porządek przedewszystkiem.

Wkrótce kwit był gotowy, lecz Szerepie się zdało, że jego redakcja trwa wieki.

Po napisaniu kwitu lichwiarz na drugiej stronie rewersu dodał wyrazy: „czterdzieści tysięcy odebrałem", położył datę i podpisał swoję nazwisko.

Następnie wręczył Szerepie kwit, a rewers wsunął między papiery.

Szerepa był blady jak chusta, spostrzegłszy jednak ten ruch lichwiarza, zdawało się że zbladł jeszcze...

— Ależ rewers, rewers! prędzej! nie nudź pan! mówił głosem, który mu w gardle zamierał.

— Co panu po rewersie?.. masz pan kwit, odparł spekulant.

— Człowieku! krzyknął ledwie hamując wściekłość Szerepa, to jabym powinien powiedzieć na co ci rewers, który nic nie wart?

— Dla pana nie wart nic, ale dla mnie wart dużo... ja zbieram autografy panie, ja tak dawno chciałem mieć podpis hrabiego, więc daruj pan że rewers u mnie zostanie. Nie wydobędziesz go inaczej chyba sądownie.

Ten cios już przechodził siły Szerepy.

Wściekłość co wrzała w jego żyłach wybuchła.

Cisnął się jak lew zraniony i silną ręką chwycił za piersi lichwiarza.

— Łotrze! rzekł ochrzypłym głosem, nie wiesz że masz do czynienia z człowiekiem gotowym na wszystko.

— Wiem... z kryminalistą... i przygotowałem się na to... odrzekł spokojnie lichwiarz.

I szybkim jak błyskawica ruchem wydobył pistolet z kieszeni.

Na widok broni, opadły ręce bezbronnego Szerepy...

— Łaski! litości! zawołał, człowieku! nie bądź kamieniem... Wziąłeś sześć razy tyle coś dał... zwróć rewers...

— A! spokorniałeś pan jakoś, odrzekł spekulant chowając broń do kieszeni, mówisz jak ludzie dobrze wychowani, więc pogadamy.

— Słucham.

— Autografu hrabiego darmo nie oddam... zbyt mi drogi... Chcesz go pan mieć koniecznie... kup odemnie... U mnie na sprzedaż wszystko... wszystko...

— Ile chcesz? szatanie!.. płacę.

— Oh! jeżeli mam być szatanem, rozśmiał się lichwiarz, to i szatańską cenę położyć muszę... Tyle co pan masz przy sobie dosyć będzie...

— To rabunek! rozbój!

— Nie panie, to cena.

Poświęcić wszystkie pieniądze z takim trudem, z taką męczarnią zdobyte dla ocalenia się już nie od hańby, bo go już czyny jego shańbiły, ale od jawności tej hańby, było nad siły Szerepy.

— To ostatnie słowo? zapytał.

— Ostatnie, zimno odpowiedział lichwiarz.

— A więc... zachowaj weksel... nie dam nic.

To powiedziawszy Szerepa skierował się ku drzwiom.

— Chwilkę jeszcze panie, rzekł spekulant głosem, który przykuł do miejsca Szerepę, ostrzegam cię że wyjdziesz ztąd jak chcesz, to jest z pieniędzmi albo z wekslem, ale jeżeli wyjdziesz z pieniędzmi to wyjdziesz pod strażą.

Domawiając tych słów posunął rękę do dzwonka.

Przybity tym ostatnim ciosem Szerepa, padł na kolana przed nieugiętym człowiekiem, wołając:

— Łaski! litości!..

— Prosisz pan, to co innego, rzekł lichwiarz, niech pan wstanie.

Szerepa machinalnie wykonał rozkaz.

— Ażeby skończyć zgodnie i po przyjacielsku, oddam ci autograf natychmiast za połowę tego co masz przy sobie.

Szerepa przystał.

Odliczono pieniądze. Ze stu ośmiu pozostałych banknotów, lichwiarz wziął jeszcze pięćdziesiąt cztery, to jest trzydzieści sześć tysięcy.

Drogiem być musi dobre imię, kiedy za ocalenie go zbrodniarz, zabójca, zdecydował się zapłacić tak wielką summę.

W chwilę potem rewers już był spalony, lichwiarz z grzecznemi ukłonami odprowadził Szerepę do drzwi i rzekł do niego na wychodnem:

— Pamiętaj pan, że zostajemy przyjaciołmi... Jak ci będzie potrzeba pieniędzy to u mnie je masz na zawołanie. Na podpis hrabiego dać jestem gotów wszystko... to jest... jak teraz... nie wyżej jak trzysta rubli.

Szerepa wskoczył do dorożki i już nie słyszał ostatnich wyrazów. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

KONDOR.

Powietrze, ziemia i woda, mają swoich łupieżców i swoje ofiary. Jak przed rekinem mieszkańcy mórz i oceanów, a przed tygrysem bengalskim drżą i kryją się wszystkie zwierzęta, tak dla skrzydlatej rzeszy ptaków strasznym jest amerykański kondor. Nie tylko jednak ptastwo on napastuje, gdyż zarówno jest niebezpieczny dla zwierząt bezbronnych: jak owce, kozy, sarny, a nawet i dla ludzi. Wspaniały ten ptak, niegdyś czczony przez dzikich mieszkańców Ameryki, prawdziwym jest królem Andów południowych. Dochodzi on tam olbrzymiego wzrostu, a siła jego tak jest wielka, że nierzadko spycha ze skał bawoły w przepaść. Wznosi się czasem na dwadzieścia tysięcy stóp nad ziemię, t. j. na wysokość, w której człowiek nie mógłby oddychać. Tam, siedząc nieruchomie na szczycie skały, przebiega bystrem okiem najodleglejsze okolice i najmniejszy przedmiot nie ujdzie jego uwagi.

Dotąd jeszcze naturaliści zgodzić się nie mogą, czy kondor może porwać człowieka? Zdaje się jednak, że jeżeli z dorosłym mężczyzną trudno mu podołać, to dziecko kilkoletnie z łatwością unieść potrafi. Na dowód przytaczamy tu następny wypadek:

Czterej podróżni, z których dwaj byli chłopakami małoletniemi, przebywali strome szczyty gór Kordyljerów. Nie wiadomo jakim sposobem jeden z chłopaków, młody Robert, zabłąkał się i zginął bez wieści. Gdy po najusilniejszych poszukiwaniach, wszelkie nadzieje odszukania Roberta stracili i w niemej pogrążeni byli rozpaczy, nagle jeden z wędrowców zawołał:

— Kondor!

Jakoż ujrzeli wspaniałego ptaka, szybkim lotem spuszczającego się na ziemię. Od końca do końca rozpiętnych skrzydeł mógł on mieć przynajmniej 15 stóp. Unosił się w powietrzu nieruchomie na swoich potężnych skrzydłach; jestto bowiem własnością wszystkich wielkich ptaków, że latają w majestatycznym spokoju, gdy tymczasem owady aby się utrzymać w powietrzu, muszą tysiąc razy uderzać skrzydłem na sekundę.

Jeden ze starszych podróżnych, którego nazywać będziem majorem i Wilson brat Roberta, porwali swoje karabiny. Ale lord Edward G. ojciec obu chłopaków, zatrzymał ich gestem. Kondor tymczasem spuszczał się na niedostępną płaszczyznę, odległą na ćwierć mili od miejsca, w którem się wędrowcy znajdowali. Kreślił on koła w powietrzu z niezmierną szybkością, to rozwierając, to zamykając swoje potężne szpony i widocznem było, że czatuje na jakąś zdobycz.

Wędrowcy nasi domyślili się, że w tem niedostępnem miejscu musi się ukrywać przedmiot ich troskliwości—Robert. To tylko było wątpliwem czy żył, czy nie?

Nagle lord Edward zawołał: „A jeżeli Robert jeszcze żyje. Okropna myśl, ten ptak... Ognia! przyjaciele, ognia!"

Ale było już zapóźno. Kondor zniknął po za szczytami skał.

Upłynęła sekunda, sekunda, która się wiekiem zdała. Potem olbrzymi ptak pokazał się ciężko obciążony i wzbijać się począł w górę ociężałym lotem.

Krzyk przestrachu i zgrozy, wydobył sie z piersi wędrowców. W szponach kondora dostrzedz było można nieruchome, zwisłe ciało Roberta. Ptak uchwycił go za suknie i unosił się w powietrzu przynajmniej na pięćdziesiąt stóp po nad naszymi wędrowcami. Dojrzał tych ostatnich i starając się umknąć z ciężką swoją zdobyczą, gwałtownie rozbijał powietrze skrzydłami.

— Ach, zawołał lord Edward, raczej niech trup Roberta rozbije się o skały, niż zeby stał się łupem...

Nie dokończył tych słów i porywając karabin Wilsona, zmierzył nim do kondora. Lecz ręka mu drżała, nie mógł utrzymać broni, w oczach mu ciemniało.

— Pozwólcie mnie, rzekł major. I okiem spokojnem, ręką pewną, nieruchomy, zmierzył się do ptaka, który się już podniósł na trzysta stóp. Ale nie dotknął jeszcze cyngla, gdy w głębi doliny rozległ się wystrzał. Biały dym rozpostarł się pomiędzy dwoma massami bazaltu, a kondor trafiony w głowę, spadał powoli przewracając się w powietrzu, w którem podtrzymywały go na kształt spadochronu dwa potężne skrzydła. Zdobyczy swej nie wypuścił, lecz powoli spuścił się wraz z nią na ziemię o dziesięć kroków od wybrzeża rzeki.

Gdy nadbiegli nasi podróżni, ptak był martwy, a ciało Roberta zupełnie było ukryte pod jego szerokiemi skrzydłami. Lord Edward rzucił się na trupa dziecka, wydobył go ze szponów ptaka, położył na ziemi i przyłożył ucho do piersi martwego ciała.

Nigdy okropniejszy krzyk radości nie wyrwał się z piersi ludzkiej, jak w tej chwili gdy lord Edward powstał, mówiąc:

— Żyje, żyje jeszcze!....

Kamiński Mścisław.



Kondor.—(Do str. 103.) Rysowała i wycięła na drzewie Sulińska.)

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *P. * * * w Końsko - woli.* Z ochotą objaśniamy niektóre wyrażenia użyte w powieści pod tyt. „*Dziwni ludzie.*”

Z wymienionych ludzi, których przyjaźń odwieczne utrwaliły podania: Kastor i Polluks. tylko do mitologij należą. Byli oni właściwie braćmi bliźniakami. Brestas przyjaciel Pylasa był synem Agamemnona, jednego z opiewanych przez Homera zdobywców Troi. Damon i Pythias, żyli za czasów Djonizjusza syrakuzańskiego, a więc na cztery wieki przed erą dzisiejszą.

Danaidami nazywają 50 córek króla egipskiego Danausa, które według podań skarane zostały po śmierci na napełnienie beczki bezdennej, za zabicie swych mężów w nocy weselnej. Ztąd poszło wyrażenie beczka Danaid, użyte przez autora powieści.

— *Panu G. Z. w Zwinogrodzkiem powiecie gubernji Kijowskiej.* Romańskiemi językami nazywają się te, które pochodzą z Łaciny, główną część wyrazów mają łacińskich a do tych dopiero przymięszane są wyrazy wzięte z języków ludów sąsiednich. W prowincjach gdzie właśnie panowali Rzymianie, romańskie języki się potworzyły. Języków takich oddzielnych, lecz w zasadzie podobnych do siebie, jest sześć a mianowicie: włoski, francuzki, hiszpański, portugalski, prowansalski (w południowej Francji), i rumuński czyli mołdo-wołoski. Najbardziej zbliżonemi do Łaciny są języki: włoski, francuzki i prowansalski; hiszpański i portugalski ma bardzo wiele wyrazów pochodzenia arabskiego, a w rumuńskim większość wyrazów wzięta jest z mowy Słowian i Węgrów czyli Madjarów.

Pani Fr. P. i I. Wr. Majstrowi Krawieckiemu z ulicy Długiej, w Warszawie. Piękniejsze utwory naszych poetów zamieszczamy i zamieszczać będziemy nadal. Ale utworów większych dawać nie możemy dla braku miejsca; dając po trochu, rzecz ciągnęłaby się bardzo długo i traciłaby nawet swą piękność jaką poczuwamy czytając poemat od razu. Grażyna np. Mickiewicza, gdyby ją drukować w Opiekunie i dawać co numer po jednej szpalcie, jak to jeden z Panów projektuje, ciągnęłaby się przez dwadzieścia dwa numera, czyli przez pięć miesięcy. Wszelako ustępy z takich poematów, przedstawiające pewną całość, drukować będziemy chętnie.

ROZMAITOŚCI.

— **Odczyty dla klas pracujących.** Zapewne w czasie postu obecnego, odczyty dla klas pracujących przyjdą do skutku. Jest to w istocie jedna z pierwszych potrzeb dla pracowitej rzeszy naszej, która zbyt wielkiem wykształceniem poszczycić się nie może. Bezwątpienia przedmiotami odczytów będzie historja naturalna, fizyka, chemja, technologja i inne — są to wiadomości bezpośrednio wpływające na wykształcenie fachowe pracowników. Ale zwrócimy tu jeszcze uwagę na jedną naukę badzo ważną, a mianowicie na hygienę, czyli na naukę mającą na celu zachowanie zdrowia ludzkiego. Nauka ta powiadamy, jest bardzo ważną, gdyż od dobroci zdrowia, zależy i możność pracowania oraz zarobku. Bez zdrowia żaden rzemieślnik nie może marzyć o utrzymaniu swojem i swoich dzieci, nie może ani pomyśleć o dorobieniu się czegoś. Tymczasem robotnicy nasi i ich żony, mają bardzo słabe wyobrażenie jak należy postępować, chcąc uniknąć utraty zdrowia, co jeść, jak się odziewać, jak mieszkać. A jak o tem niewiedzą, to nieraz błądzą, myśląc że jak najlepiej robią i z tych błędów powstają osłabienia, choroby, które powoli podkopują zdrowie i nie jeden rzemieślnik mogący być chlubą swego rzemiosła, mogący zrobić majątek, wychować dobrze dzieci i przysłużyć się tem samem krajowi — ginie marnie, zostawiając w nędzy nieszczęśliwą wdowę i dziatki.

Koniec Kwartału I-o, 1867 roku.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.